EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 5 marca 1933 R. | NR. 10 (23)

Łzy i barykady

Czarny front

Duch przewrotności

Niedziela 29 lipca 1934 r.

Proces Galileusza

Bezdomna Łódź

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr. Najnowsze książki.

AUTORZY: WASOWSKI. KRAWCZYŃSKA. WAJNRYB. ROGOWICZ. CZARNOWSKI. REISLER. KORNACKI. WASIAK. BURDECKI.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem — Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NIEDZIELA 29 LIPCA 1934 ROKU

Korzystając z nadesłanego „Epoce" tekstu odezwy R. N. Coudenhove - Kalergi p. t. „Plebiscyt", która ukaże się w najbliższym numerze miesięcznika „Paneuropa", zamieszczamy poniżej obszerne streszczenie tej odezwy.

„Dwadzieścia lat nędzy i dziesięć lat propagandy, pisze R. N. Coudenhove - Kalergi, — przekonały niemal całą inteligencję Europy o konieczności federalnego skupienia państw europejskich. Tę konieczność uznają nietylko pewne odosobnione partje polityczne, lecz najróżniejsi ludzie zarówno z pośród prawicy, jak i lewicy. Kto nie wierzy, niechże sobie przeczyta teksty przemówień wygłoszonych w Rzymie na kongresie Volta pod egidą Mussoliniego i niech porówna je z tendencjami propagandy frakcji rewolucyjnej Trockiego. Leaderzy ruchu paneuropejskiego tworzą dzisiaj front biegnący od Göringa, narodowosocjalistycznego prezydenta Reichstag'u, a kończący się na Trockim. Śród polityków, pisarzy i dziennikarzy, ci tylko trzymają się na uboczu od tego wielkiego zagadnienia naszej rzeczywistości, których oczy, niespozierające w przyszłość, odmykają się jedynie poto, by kontemplować przeszłość. Gdy się rozmawia dzisiaj o sprawach Paneuropy z robotnikami, chłopstwem, urzędnikami, kupcami i rzemieślnikami, konstatuje się ze zdumieniem zgodę jednomyślną tych ludzi. Wielu z nich wątpi coprawda o możliwości urzeczywistnienia wielkiej idei Paneuropy, nieliczni są jednak ci, którzy wątpią o jej potrzebie.

„Memorandum Brianda zapytywało rządy państw europejskich o ich stosunek do projektu zjednoczenia się w federację Paneuropy; dzisiaj nadszedł czas zwrócenia się drogą plebiscytu do ludów europejskich nadszedł czas umożliwienia każdemu Europejczykowi i każdej Europejce osobistej, bezpośredniej i jasnej wypowiedzi w związku z zagadnieniem paneuropejskiej jedności narodów. *Plebiscyt europejski odbędzie się w niedzielę, dnia 29 lipca 1934 r., w dwudziestą rocznicę rozpoczęcia działań wojennych. W dniu tym nawet człowiek najzupełniej pozbawiony wyobraźni będzie musiał przypomnieć sobie całą nędzę, do jakiej doprowadziło rozsprzężenie europejskie, oraz pomyśleć, że ono pragnie raz jeszcze spowodować klęski te same*".

Omawiając osiemnastomiesięczny program prac przygotowawczych w związku z mającym odbyć się plebiscytem, R. N. Coudenhove - Kalergi zaznacza, że „w państwach, których konstytucja przewiduje odwoływanie się w kwestjach zasadniczych do woli narodu, plebiscyt odbędzie się w sposób konstytucyjnie prawomocny, natomiast w innych państwach posłowie, partje lub rządy starać się będą o uchwalenie specjalnego prawa, mocą którego plebiscyt będzie się mógł odbyć jednorazowo w drodze wyjątku, lub jednocześnie z wyborami do izb ustawodawczych, specjalnie wyznaczonemi na ten dzień. Tam gdzie plebiscyt nie będzie mógł odbyć się w sposób oficjalny, organizacja jego przybierze formę masowych petycyj do rządu, rezolucyj i manifestacyj".

W zakończeniu odezwy nawołuje R. N. Coudenhove - Kalergi, aby „nikt z pośród osób, które zasadniczo uznają konieczność Paneuropy, nie uchylał się od obowiązku współpracy z plebiscytem. Jeśli komukolwiek nie podoba się który z punktów programu Paneuropy, winien on wstrzymać narazie wszelkie zastrzeżenia, aż do chwili, gdy po roztrzygnięciu podstawowego zagadnienia, dyskutować będzie się szczegóły. Dzień 29 lipca 1934 roku winien być dniem narodzin Nowej Europy, a ta Europa winna wynikać z wolnej i nieprzymuszonej decyzji ludów. Plebiscyt winien być wielką Rewolucją europejskiej polityki międzygranicznej. Rewolucją bez przelewu krwi. Powinno już się raz położyć koniec okresowi dwudziestu wieków, w czasie których Europa pożerała nieprzerwanie swe własne członki, — oraz okresowi dwudziestu lat ostatnich, lat powolnego samobójstwa. Plebiscyt winien stać się zaczątkiem współpracy wzajemnej, wolności i wspaniałego współżycia 300 miljonów mieszkańców Europy, zjednoczonych odtąd w pokojową i pracowitą konfederację Narodów równych sobie prawami. Ludy Europy niechże wyciągną ku sobie dłonie, by na zgliszczach wojny światowej Stany Zjednoczone Europy wybudować!"

Wszelkie zapytania i propozycje zgłaszać należy pod adresem: *„Bureau Central de l'Union Paneuropéenne". Wien. 1. Hofburg.*

ŻĄDANIA NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Masowe wymówienia pracy nauczycielstwu szkół prywatnych, jakie nastąpiły w końcu miesiąca ubiegłego, głęboko wzburzyły nauczycielstwo, które w okresie przeciągającego się kryzysu stanęło w obliczu utraty środków egzystencji. Wymówienia te poruszyły również żywo opinję publiczną.

Prezydjum Sekcji Szkolnictwa Średniego Związku Nauczycielstwa Polskiego, powzięło następujące uchwały:

„W związku z masowemi wymówieniami pracy nauczycielstwu szkół prywatnych, motywowanemi niepewnością, co do dalszych losów tych zakładów, Prezydjum Sekcji stwierdza, że 1) wymówienia te w treści swej i formie są aktem wyjątkowej nielojalności w stosunku do zatrudnionych, niekiedy od lat kilkunastu nauczycieli, 2) masowość tego zjawiska i głosy prasy pewnego odłamu politycznego budzą podejrzenia, że mamy tu do czynienia z akcją, zmierzającą do sparaliżowania realizacji reformy ustrojowej.

Prezydjum Sekcji uchwala: 1) zwrócić się do władz szkolnych z prośbą o spowodowanie cofnięcia wymówień, oraz możliwie szybkie opublikowanie zarządzeń odnośnie organizacji przyszłego roku szkolnego; 2) Prezydjum apeluje do właścicieli szkół, by przez swe poczynania w stosunku do nauczycieli nie wprowadzali momentów, które utrudniają nauczycielstwu spokojną pracę naukową i wychowawczą, władzom zaś planową realizację reformy szkolnictwa."

W związku z ciężką sytuacją szkolnictwa prywatnego, wywołaną przez ogólny kryzys ekonomiczny, przyjmowanie do szkół państwowych, które przedewszystkiem powinny być szkołami dla młodzieży ubogiej i młodzieży zamożniejszej, prezydjum Sekcji postanawia zwrócić się do Min. W. R. i O. P. z prośbą: 1) o spowodowanie zmiany dotychczasowego postępowania szkół państwowych odnośnie selekcji uczniów pod względem zamożności rodziców; 2) o uzależnienie inwestycyj w szkolnictwie prywatnem od pomocy kredytowej władz; 3) o kierowanie bez-

robotnych rzesz nauczycielskich do szkół powszechnych, oświaty pozaszkolnej i pracy oświatowej w wojsku.

W sprawie niewypłacania pensyj przez szkoły prywatne, uchwalono prosić władze, by uzależniały uprawnienia szkół od wypełniania przez koncesjonarjuszy zobowiązań wobec nauczycieli.

MĘŻOWIE I ŻONY

Coraz częściej powtarzające się usuwanie zamężnych pracowniczek umysłowych, natchnęło dr. Jamesa Fentona, kierownika Urzędu Zdrowia dzielnicy Kensingtońskiej w Londynie, do wygłoszenia pouczającego kazania „dla mężów zredukowanych pań". Częste samobójstwa tych ostatnich z przyczyn pozbawienia pracy nie doszłyby, zdaniem dr. Fentona, do skutku, gdyby w tak przykrej dla siebie chwili znalazły biedne kobiety ostoję moralną w stosunkach rodzinnych.

„Małżonek zredukowanej pracownicy, powiada dr. Fenton, jeżeli czuje się gentlemanem i pragnie nadal zasługiwać na tę nazwę, powinien każdego pierwszego, przy odbiorze poborów dzielić sumę na dwie równe części, z których jedną zatrzymując sobie, winien drugą oddać żonie do jej wyłącznej dyspozycji".

„Podobnie, jak przed redukcją, tak samo i teraz, część swych osobistych pieniędzy przeznacza każde z małżonków na utrzymanie domu, zachowując na osobiste potrzeby porówno. Ileż tragedji nie doszłoby do skutku, gdyby rozumny mąż postarał się w miarę możności ratować chociaż pozory niezależności żony, tak drogiej dla każdej kobiety naszych czasów!"

BEZ STERU

„2 rewolwery większego kalibru, 2 małe. Wybić szybę u jubilera. Szybko wybrać kosztowności. Zdobyć dziewczynę. Zabrać z kasy sklepu 150 dolarów". Takie notatki znalazł spostrzegawczy policjant na dworcu kolejowym w Kansas City obok dwóch śpiących na ławce młodzieńców. Chłopców zatrzymano i zrewidowano. Jechali z Zanesville w stanie Ohio: posiadali broń. Jeden ma lat szesnaście, drugi jest o rok starszy. Znaleziono u nich szczegółowy wykaz większych hoteli i banków w dużych miastach amerykańskich. Zamierzali obrabować szereg zakładów. Pomysłowi chłopcy „preliminowali" conajmniej 2 miljony dolarów rabunkowego „dochodu".

Stawieni przed sąd, szczerze przyznali się do swych zamiarów. „Bo w domu nie mamy co robić", wyjaśnili sędziemu. Sędzia, jak donosi kanzaski „Star", przeprowadził dochodzenie. Matka jednego z aresztowanych chłopców, wdowa bez pracy, nie mogła nawet wyłożyć na koszty powrotu syna koleją. Rodzina drugiego ojciec, bezrobotny drukarz, matka z czworgiem drobnych dzieci, trzy bezrobotne siostry ojca i staruszka — babka. Wszyscy przymierają głodem. Sędzia uniewinnił chłopców, wyłożył na koszt ich przejazdu do domu. Czy na tem koniec tragedji?

Nowojorski „Times", mówiąc o tych chłopcach „bez steru", gotowych do popełnienia zbroni bez wszelkich skrupułów, traktujących to, jako normalne zajęcie dochodowe, dodaje: „Czy możemy zajrzeć do mózgów ludzkich? Wszak z takiemi planami na przyszłość żyje, być może, z dziesięć miljonów ludzi?"

ŁZY I BARYKADY

W akademickiem Kole polonistów uniwersytetu warszawskiego odbył się wieczór dyskusyjny, poświęcony sztuce Maurycego Rostanda „Człowiek, którego zabiłem", wystawionej przez „Redutę". Na wieczorze tym zarysowały się dwie postawy, zarówno wobec wojny, jak i wobec innych, wielkich spraw zbiorowego życia. Niektórzy mówcy reprezentowali stanowisko „antysentymentalne", lekceważąc wszelkie tragedje jednostek i nawołując do skierowania całej energji ideowej w stronę zagadnień kolektywnych. Inni — przeciwnie — stawali w obronie sprawy człowieka, malując obraz jego dzisiejszej niedoli i wyrażając pogląd, że ta właśnie obrona prowadzi do istotnej naprawy społecznej.

Spór godny uwagi ze względu na to, że toczy się tak często i pogłębia.... wielkie nieporozumienie.

Zasadnicze przeciwstawianie sprawy jednostki sprawie zbiorowej i odwrotnie — jest niedorzecznością. Zbiorowość nie jest abstrakcją, oderwaną od życia jednostek, a życie jednostki nie jest niezależne od całokształtu życia społecznego.

Kto zapatrzy się na tragedję człowieka, w oderwaniu od społecznego tła, uboży swój sąd i wkracza na drogę filantropji, kto zaś da się całkowicie i wyłącznie pochłonąć t. zw. „problematyce masowej", popada w doktrynerstwo. Pierwszy — to typ nieuspołeczniony, drugi — to ów „programowiec", który na wszystkie bolączki świata ma gotową i jedyną receptę. Pierwszy bywa czułostkowy, sentymentalny, drugi — niewrażliwy, oschły. Pierwszy — jak ktoś dobrze powiedział — widzi drzewa, nie widząc lasu, drugi — odwrotnie — widzi las, ale drzew nie widzi.

Jeśli zlekceważymy nieszczęście jednostki, jako ofiary wojny, nie odczujemy całej grozy wojny samej. Jeśli nie spojrzymy na tragedję poszczególnych bezrobotnych, nie wytworzymy sobie obrazu bezrobocia. I tak we wszystkich sprawach człowieka i społeczeństwa.

Pomijanie spraw jednostkowych jest dziś bardzo charakterystyczne. Mamy teraz modę na „antysentymentalizm", na t. zw. „zimny" sąd. Jakgdyby wrażliwość, uczucie, moment emocjonalny, nie mogły godzić się z powagą i dojrzałością sądu.

Na wspomnianym wieczorze słyszeliśmy drwiny z łez, jakie wyciskał wśród publiczności film Lubicza „Człowiek, którego zabiłem". Nierozsądne drwiny. Łzy, jeśli nie tanie, nie płynące na zawołanie, nie histeryczne, ale uczciwe łzy, kiedy stanowią reakcję moralną na cudze nieszczęście — to pozycja pełna dobrego znaczenia w moralnem życiu świata. Łzy publiczności były wyśmiane, bo publiczność ta — jak słyszeliśmy — „niepotrzebnie przejmowała się losem jednego człowieka, podczas gdy

męczyły się i ginęły miljony". Śmiem twierdzić, że kto nie potrafi cierpieć nad nieszczęściem jednego człowieka, tego współczucie dla miljonów nie jest najgorętsze. Nie jest ani gorące, ani żywe, bo nie towarzyszy mu *obraz* powszechnej tragedji. Doktrynerzy, pochłonięci „problematyką masową" pozbawieni są wyobraźni. A wyobraźnia jest jedną z podstaw moralności.

Dla oschłego doktrynera przestaje istnieć tragedja człowieka. Gotów odmówić pomocy głodnemu i doradzić mu, żeby czekał na... zmianę ustroju. Bo jeśli pomoże głodnemu, będzie to — filantropja i sentymentalizm.... A to jest wybieg, dywersja, odwracanie uwagi od drogi jedynie zbawiennej...

Sądzę, że można pomóc głodnemu, a zaraz potem iść na barykady.

Z owej to oschłości, z tego bezdusznego doktrynerstwa rodzą się potem orgje terroru, kiedy już człowiek nie wchodzi w rachubę, kiedy jednostka pozbawiona jest wszelkiego znaczenia.

Ludzkość to — ludzie. Państwo to — obywatele. Nie znaczy to bynajmniej, żeby sprawie dobra ogólnego, dobra społeczeństwa, narodu czy państwa, nie miał być podporządkowany interes jednostki, ale znaczy, że krzywda jednostki nie jest dobrem społeczeństwa, państwa i ludzkości. Przeciwstawianie *zasadnicze* interesu ogółu interesowi jednostki, czy zagadnień społecznych sprawom człowieka, prowadzi do różnych form tego mistycyzmu rewolucyjnego czy państwowego, który pod hasłem „wszystko dla rewolucji" lub „wszystko dla państwa" gwałci i niszczy elementarne prawa człowieka i obywatela.

A do młodych, tak dziś nadzwyczajnie „trzeźwych", tak wystrzegających się wszelkiego wzruszenia, trzeba powiedzieć: myśli waszej nie zaszkodzi uczucie, jeśli ta myśl jest mocna i dojrzała.

Józef Wasowski

WYPROWADZKA FEMINIZMU

Gdy minister opieki, dr. St. Hubicki, przed niedawnym czasem oświadczył na zjeździe inspektorek pracy, że jest „bezwzględnym zwolennikiem dopuszczania kobiet do wszystkich terenów pracy" i przeciwstawił się ciasnym poglądom, spychającym pracę kobiet na jakąś „izolowaną wysepkę" — w szeregach kobiet pracujących musiało się odezwać westchnienie ulgi.

To jest przecież to, czego żądają zastępy kobiet. Aby nie spychano ich pracy na „izolowaną wysepkę" nędznych płac, zdwojonego wyzysku, marnych stanowisk i upokorzeń moralnych.

W przemówieniu ministra otwarły się jeszcze dalsze perspektywy. Przy ocenie pracy samychże inspektorek pracy, podkreślił, iż ich stanowiska „nie są wyrazem dążeń feministycznych", lecz jest to „normalny objaw podjęcia przez pewną grupę ludzi szczerze zainteresowanych zagadnieniami społecznemi czynności inspektorów pracy".

Tego rodzaju przesunięcie zagadnienia pracy kobiet z dziedziny feminizmu na platformę ogólno-społeczną i ogólno-ludzką jest objawem jaknajbardziej pożądanym, dziś zwłaszcza, gdy na tle konkurencyjnej zajadłości, wytworzonej przez wyzysk i bezrobocie, w samym świecie pracy powstało zamieszanie i, miast wspólnej obrony, wzajemna nienawiść i wypychanie się z posad.

Dziś, gdy praca zawodowa kobiet przestała być zjawiskiem osobliwem, wyjątkowem, kiedy jest oczywistością i koniecznością z dniem każdym coraz bardziej powszechną, kiedy kobiety na stanowiskach samodzielnych i kierowniczych przestały być wiecznie „pierwszemi" i nie budzą ani przesadnego podziwu, ani nie powinny budzić wydziwiania, czas byłoby dokonać gruntownej wyprowadzki feminizmu z jego staroświeckiego domku pod namioty wielkiego świata pracy. Czas byłoby sobie powiedzieć, że można i wypada traktować kobietę i jej pracę zawodową bez specjalnych uprzedzeń — złych czy dobrych — a właśnie, jako „normalny przejaw" podjęcia takiej czy innej czynności w ramach pracy publicznej, państwowej, społecznej.

Kobiety mogłyby już umieścić w muzeum swoje dawne sztandary feministyczne, gdyby istniało to „normalne" traktowanie.

Na pewnych odcinkach pracy zawodowej istnieje ono faktycznie już dość dawno i nie budzi żadnych wątpliwości. W zawodach wolnych i intelektualnych, wśród kobiet, mających samodzielne placówki zarobkowe w przemyśle i handlu, niema już co do tego żadnych wątpliwości, że bojowy okres feminizmu został zakończony. Tam, gdzie działa prawo wolnej konkurencji, niema zastrzeżeń dla kobiet, które chcą i umieją pracować. W tych też zawodach, gdzie kobieta jest naprawdę równouprawniona, nie widzimy wyłącznie kobiecych organizacyj zawodowych. Nie znaczy to, by „feminizm" doznał tam porażki — wręcz przeciwnie: osiągnąwszy swe cele, zakończył swą rolę i dokonał „wyprowadzki" pod ogólnospołeczne namioty.

Tak jest u nas z zawodami nauczycielskiemi, literackiemi, artystycznemi. Ale dziwne wręcz zjawiska powstały w niektórych zawodach, których wysoki poziom intelektualny powinienby przesądzać o zrozumieniu współczesnego rozwoju kultury i potrzeb społecznych: wśród lekarzy i prawników. W obu tych środowiskach zawodowych powstały przed paru laty odrębne organizacje kobiece. Dlaczego? Właśnie dlatego, że kobiety były w tych zawodach spychane na „izolowaną wysepkę", że nie były traktowane „normalnie".

Lekarki mają do zarzucenia swym kolegom, iż niedoceniają w pracy zawodowej szeregu zagadnień społecznych, a w obsadzaniu stanowisk uprawiają swego rodzaju „zmowę mężczyzn" przeciw najzdolniejszym i najwybitniejszym nawet lekarzom, o ile są niemi kobiety.

Kobieta może przebić się do adwokatury, ale togi sędziowskie są dla niej jeszcze niedostępne. Niewątpliwie zastarzała to wyłączność kastowa i zawzię-

ty konserwatyzm, broniący stanowisk sądowniczych przed żywiołem nowym, niosącym w sobie zapowiedź uspołecznienia instytucji, zaśniedziałej w rutynie.

Najprzykrzejsze bodaj stosunki w związku z pracą zawodową kobiet wytworzyły się na gruncie zawodów urzędniczych i biurowych. Niechęci wzajemne i podstępne nieraz rugowanie słabszych przez silniejszych — to rzeczy, o których wciąż się słyszy. Organizacje zawodowe obojętnie odnoszą się do tych spraw, nie poruszają ich wcale, nie zajmują żadnego stanowiska wobec powtarzających się redukcyj przeprowadzanych na zasadzie „cenzusu płci". Jeżeli mówimy o rugowaniu słabszych przez silniejszych, to nie działa tu prawo konkurencji zdrowej, nie decyduje zdolność zawodowa, kwalifikacje, pracowitość, wydajność pracy i pożyteczność jej dla państwa lub instytucji.

O tych uprzedzeniach i nieżyczliwych predyspozycjach wobec kobiet mówi się zbyt wiele, by uważać je można za jednostronne żale niektórych poszkodowanych jednostek.

Bardzo przytem jest charakterystyczne, że organizacje zawodowe niezmiernie mało liczą kobiet wogóle, a jeszcze mniej czynnych działaczek. Poprostu wyjątkowo tylko trafić można na członkinie zarządów i sekcyj organizacyj zawodowych. Są organizacje zawodowe, które bardzo chętnie widziałyby koleżanki w zarządach i w czynnej roli; trudność polega na nieprzepartej obojętności kobiet i niechęci do zajmowania się sprawami organizacyjno-zawodowemi. Jedni tłumaczą to przepracowaniem kobiet w ramach życia rodzinnego i domowego — drudzy ich lekkomyślnością i brakiem uspołecznienia.

Są zaś organizacje zawodowe, w których kobiety byłyby mile widziane, ale wyłącznie w roli biernej, jako członkinie, płacące składki, urządzające conajwyżej „herbatki towarzyskie", lecz zgóry wyklucza się możliwość dania im miejsca w zarządach i odpowiednich wpływów. Więc i ta konjunktura jest niepociągająca.

W obecnej chwili wytwarza się wśród kobiet pracujących w urzędach i biurach przeświadczenie, iż obronę w tej sytuacji mogłaby im dać organizacja wyłącznie kobieca, jednocząca większe grupy kobiet.

A więc — coś zupełnie przeciwnego do „wyprowadzki feminizmu" — coś biegunowo innego, niż życzyłby sobie minister opieki i niewątpliwie wiele kobiet pracujących, które nie chciałyby powracać do epoki naszych matek, walczących o uznanie ich prawa do pracy. Sądzę, że wielu z nas dostatecznie obrzydło być wciąż uważanemi za „feministki".

Obawiam się jednak, że cofamy się na tem polu!

Do maksimum posuwany wyzysk pracy, do minimum obniżane zarobki, lęk przed utratą pracy, kto ją jeszcze ma, wykolejenie psychiki bezrobociem, kto już mu uległ — te warunki biją w zastępy kobiet pracujących. Warunki tak destrukcyjne, iż nic dziwnego, że pod ich naporem musi się coś psuć, niszczyć, cofać wstecz... i że „wyprowadzka feminizmu" na całej linji nie da się dziś jeszcze dokonać, że trzeba, mimo i wbrew chęciom, trwać jeszcze w starych okopach. Przynajmniej, jeśli chodzi o niektóre pola i niektóre dziedziny pracy kobiecej.

Żałosny to fakt, lecz tak dziś wygląda rzeczywistość.

Jadwiga Krawczyńska

CZARNY FRONT

Szeroką falą, jak wiosenne roztopy w polu, rozlało się po Niemczech poczucie krzywdy, niezadowolenia i chęć — za wszelką cenę — odmiany stosunków istniejących. Nędza, głód wielu miljonów, beznadziejność warunków bytowania w ustroju, który staje się ucieleśnieniem tych dokuczliwych krzywd, powoduje przerzucanie się miljonowych mas z obozu do obozu i narastanie coraz to groźniejszej fali radykalizmu. W miarę jednak zaostrzenia się sytuacji w Niemczech, radykalizacja mas niemieckich przybiera coraz to nowe formy.

Hitleryzm nie jest bynajmniej ruchem jednolitym. Gdyby nim był, nie wykazywałby w ciągu kilku miesięcy, jak w listopadzie roku ubiegłego, ubytku kilku miljonów głosów. Czem jest ten ruch w rzeczywistości? Czy masowym ruchem, zrodzonym na tle nienawiści ku wszystkiemu, co łączy się z ustrojem obecnym, a więc ruchem w ogólnym zarysie socjalnym, czy też masowym przejawem chaotycznego radykalizmu nacjonalistycznego, który wyrósł na podglebiu anarchji powojennej?

Spór co do społeczno-politycznego charakteru hitleryzmu nie został zakończony w obrębie samego stronnictwa narodowo - socjalistycznego i trwa ze wzmożoną siłą, zwłaszcza od chwili, kiedy pretendujący do roli proroka-zbawcy, wódz tego ruchu, Hitler, znalazł się na czele rządu.

W szeregach jego własnego stronnictwa widoczny jest głęboki rozdźwięk. Żywioły ultra - nacjonalistyczne, szukające w tem stronnictwie ujścia dla swych instynktów odwetowych i dla nienawiści rasowo-plemiennej, gorąco pochwalają wszystko, co Hitler dotychczas zapowiadał, nie ukrywając, że widzą w tem wszystkiem dążenie do zastosowania w Niemczech, w wydaniu, na jakie warunki pozwolą, systemu faszystowskiego.

Wszystkie gwałty, zakazy, nadużywanie władzy dla celów partji i dla mistycznie pojmowanego „dobra kraju", są przez te żywioły zgóry aprobowane.

Ale jest w partji hitlerowskiej odłam drugi. Zdaje się on reprezentować idee „prawdziwe" narodowego socjalizmu z pierwszych lat tego ruchu. Ten odłam, obejmujący w przeważającej swej większości bezrobotnych, widział i widzi nadal w ruchu hitlerowskim protest przeciwko ruinie gospodarczej i własnej nędzy. Liczył na to, że rząd radykalny Hitlera spełni obietnice i rozpali w Niemczech rewolucję „niemiecką", t. zn. wywalczy ludowi niemieckiemu wyzwolenie z pod jarzma kapitalizmu i jego wynaturzeń, a równocześnie „wyzwoli Niemcy zewnętrznie". O ile odłam pierwszy wysuwał zawsze na czoło swych żądań momenty czysto-narodowe, o tyle drugi dążył wytrwale do realizacji zapowiadanej „niemieckiej rewolucji", której ukoronowaniem miało być całkowite wyzwolenie włościan i robotników, zgnębienie banków, upaństwowienie produkcji.

***

Lewe skrzydło hitlerowców, sąsiadujące o miedzę z dołem komunistycznym i mające dlań, mimo walk i ostrych przeciwieństw, dużo sympatji, widzi się teraz haniebnie oszukane. Program rządu, któremu przewodniczy „wódz", jest nawskroś kapitalistyczny: giełda reagowała po ogłoszeniu tego programu poważną zwyżką kursów. Hitler obiecuje teraz, jako kanclerz znacznie mniej, niż dawał w praktyce na-

wet Schleicher. Jeszcze świadomość tego dystansu pomiędzy własnemi nadziejami a polityką społeczną Hitlera, nie spowodowała objawów rozłamu, ale wszystko zdaje się wskazywać, że ten rozłam nastąpi, poprzedzony silnym naciskiem dołu na rząd.

Nadchodzący rozłam widać już z zapowiedzi nam'ętnego przeciwnika Hitlera, dawnego jego towarzysza pracy, wodza „czarnego frontu", dr. Otto Strassera (brat będącego obecnie w niełasce b. sekretarza generalnego partji hitlerowcow, Grzegorza Strassera).

Twórca „czarnego frontu" (uznanego teraz przez Hitlera za ruch nielegalny), mówi o sobie z dumą, że reprezentuje rewolucyjnych narodowych socjalistów w odróżnieniu od Hitlera i jego adherentów w dowództwie partji, którzy zostali skorumpowani materjalnie i moralnie przez kapitalizm, wyrzekli się walki i zostali wciągnięci w pułapkę przez kapitał.

W Niemczech każdy ruch doszukuje się dla siebie nazw, odpowiadających pewnym kierunkom, znanym z przeszłości. „Czarny front", mówi o sobie z dumą, że stanowi on *odłam jakobiński* rewolucji niemieckiej, podczas gdy Hitler i jego najbliżsi — to zdeklarowani przedstawiciele... żyrondy.

Czegóż chcą zapędzani do podziemi „jakobini" niemieccy z roku 1933? Mówią oni: wojnę światową przegrała w Niemczech monarchja, skojarzona z kapitalizmem i liberalizmem. Trzeba więc iść ławą przeciw tym kierunkom.

Hitler sam kiedyś pomstował przeciw podwalinom dawnego ustroju Niemiec, ale teraz godzi się z niemi.

Otto Strasser liczy na odgłos swych namiętnych wystąpień przeciw polityce Hitlera w szeregach lewego skrzydła partji i w oddziałach bojowych, które awansują na oddziały „wierne rewolucji", oczywiście niemieckiej.

Jak w jego pojęciu prezentuje się teraz Hitler-kanclerz?

...„Tak oto na miejsce idei narodowego socjalizmu wystąpiła maska błazeńska niemieckiego, rzymskiego faszyzmu, który chce podzielić naród niemiecki na dwie części i pogłębić rozłam między niemi." Organ Strassera, „Czarny front", woła pod adresem hitlerowców: — „Nie dajcie się odepchnąć od robotników, ale zwróćcie całą swą siłę przeciwko właściwemu wrogowi narodowego nacjonalizmu, przeciwko kapitalizmowi i traktatowi wersalskiemu. Rodacy z pod znaku „żelaznego frontu" (socjaliści) i „czerwonego frontu" (komuniści) kroczą wprawdzie błędną drogą marksizmu, ale cel ich jest ten sam, co i wasz: socjalizm"!

Zaś pod adresem marksistów:

„Nie dajcie się wprowadzić w błąd powierzchownemi gestami rządu obecnego. Nie jest to prawdziwy narodowy socjalizm, jak Kiereński nie był prawdziwym bolszewizmem! Patrzcie na ducha, jaki panuje w oddziałach szturmowych i wśród młodzieży narodowej, a przekonacie się, że jest to prawdziwy duch rewolucyjny..."

Rewolucyjnie brzmią słowa następujące:

„Oblicze obecnego rządu nie jest obliczem narodowego socjalizmu. Ujawni się to poraz pierwszy w połowie marca, kiedy „lewe" skrzydło partji hitlerowskiej wedrze się do rządu, z którego wyprze Hugenberga. Narodowo-socjalistyczni robotnicy, chłopi i mieszczanie chcą tego samego — co i wy, — socjalizmu i wolności".

Analiza pojęcia „niemieckiego socjalizmu" w teorji czarnego frontu" zajęłaby zbyt wiele miejsca. Nie o to w tej chwili chodzi. Ważne jest stwierdzenie, że spory niewątpliwie odłam partji hitlerowskiej przemawia takim tonem i dochodzi do takich wniosków... Na ich poparcie ludzie z „czarnego frontu" zapewniają, że żyrondysta Hitler może się łudzić, iż z chwilą objęcia władzy zaświtała nowa przyszłość niemiecka — w rzeczywistości jednak rewolucja w Niemczech rozwija się w coraz szybszem tempie ponad Hitlerem, ku celom wolności wewnętrznej i zewnętrznej, ku celom, którym na imię: „rewolucja socjalistyczna i narodowa wojna wyzwoleńcza".

Konieczność współdziałania z komunistami i socjalistami dla celów rewolucji socjalnej proklamowana jest przez „czarny front" już od pewnego czasu, ale wyraźna oferta pod adresem tych stronnictw, które jeszcze przed kilku zaledwie miesiącami były również zaliczane do obozu... liberalizmu i żyrondy, pojawiła się dopiero w dniach ostatnich. I to właśnie jest znamienne dla temperatury politycznej w Niemczech.

Front wspólny komunizmu i socjalizmu — w obronie narazie, ale jeszcze nie w ataku, dokonywuje się pod naciskiem chwili. Czy „czarny front" do tego przystąpi, czy pociągnie dla idei tego wspólnego frontu, jak zapowiada, choćby część lewego skrzydła partji Hitlera — wszystko to zależy od taktyki rządu i komunistów. Wiadomo, że choć hasła, jakie *teraz* głosi „czarny front", pokrywają się naogół z hasłami komunistycznemi nawet w odniesieniu do inaczej nieco interpretowanej „wojny wyzwoleńczej", to jednak partja komunistyczna patrzy podejrzliwem okiem na akces grup z prawa, kiedy wraz z dołem przychodzą ich przywódcy.

Dalszy rozwój wypadków w Niemczech zadecyduje o tem, jaką rolę odegra „czarny front" w nieuniknionej już zapewne „kąpieli stalowej" i czy ostoi się naporowi dwóch wielkich obozów: skrajnej prawicy i lewicy. To samo da się powiedzieć o partji „Niemiecko-socjalistycznej", która mieni się być „narodowo-socjalistyczną opozycją". Na skrajnej lewicy od obu tych grup stoi obóz „nacjonal-bolszewicki", pod wodzą Beppo Roehmera, który ze swej przeszłości dowódcy oddziałów ochotniczych wojskowych, walczących przeciw Polsce, wyniósł ducha nacjonalizmu, podszytego jednak tak skrajnym radykalizmem społecznym, że grupę tę należy właściwie zaliczyć do partji komunistycznej. I ta również grupa ma zwolenników w partji Hitlera i ona głosi hasła rewolucji niemieckiej.

„Jakobini" rewolucji niemieckiej różnych odcieni podejmują walkę na śmierć i życie z wodzem żyrondy - Hitlerem.

Hitler ma teraz do wyboru: albo nową woltę demagogiczno-radykalną, albo pozostanie w rządzie, w obecnym jego składzie. Ta druga ewentualność musi doprowadzić do walnej rozprawy między nim, a lewicą socjalną i „jakobinami".

Mieczysław Wajnryb

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

ODGŁOSY

ZMIERZCH PROHIBICJI W U. S. A.

W związku z zatwierdzeniem przez Senat i Izbę Reprezentantów wniosku, domagającego się zniesienia prohibicji, warto zastanowić się nad przebiegiem i motywami ruchu antyalkoholowego, którego początki w Ameryce sięgają pierwszych dziesiątków lat ubiegłego stulecia.

Pierwszą ustawę prohibicyjną wydał stan Maine w 1851 roku, jednakże dopiero w sierpniu 1917 roku Senat uchwalił osiemnastą nowelę do konstytucji (t. zw. „Eighteenth Amendment"), a w październiku 1919 roku uchwalono szczegółową ustawę prohibicyjną, która weszła w życie w styczniu 1920 r., pod nazwą „The National Prohibition Act". W mowie potocznej nazywają Amerykanie tę ustawę inaczej, a mianowicie „Volstead Act", od nazwiska jej autora.

Co skłoniło Stany Zjednoczone do wyrzeczenia się alkoholu? Otóż nie należy sądzić, by odegrały tu decydującą rolę względy obyczajowe i moralne, gdyż gdyby to miało być zasadniczą przyczyną powstania aktu prohibicyjnego, to z natury rzeczy powinienby objąć on inne przejawy życia społecznego, naprz. prostytucję, niemniej występną, a znacznie groźniejszą dla moralnego zdrowia Ameryki, niż ówczesne spożywanie alkoholu.

— Za te same pieniądze jakie człowiek wydaje na whisky, koniak i rum, możnaby samochód kupić, — rozumuje fabrykant samochodów. — Albo umeblowanie domu! dodaje hurtownik mebli. — Albo cały dom z ogrodem! marzy *realtor*, czyli pośrednik w handlu nieruchomościami. Osiemnasta poprawka konstytucji i prohibicyjna ustawa — to jeden z przejawów walki szalejącej między przemysłami, walki konkurencyjnej, zażartych bojów o klijenta. Zabito przemysł gorzelniany, lecz czy istotnie tak wiele na nim zyskano i czy chociaż trochę z tego powodu zmienił się moralnie człowiek w U. S. A.?

Jeśli chodzi o „obrazę moralności publicznej" to w 1914 roku liczba zaaresztowań za pijaństwo wynosiła 523.049 osób, natomiast w 1925 roku, czyli w pięć lat po zastosowaniu szczytnego „Volstead Act'u" zaaresztowano 533.483 pijane osoby. Nielegalne a masowe upijanie się ludności nielegalnym, a wskutek tego drogim alkoholem, wielotysięczne wypadki zatrucia podejrzanej jakości namiastką „wody życia", niesłychany wzrost przekupstwa funkcjonarjuszów państwowych, w związku z przemytem i nielegalną fabrykacją spirytusu, — żaden z tych względów natury moralno - zdrowotnej nie zaważyłby napewno na losach ustawodawstwa prohibicyjnego, gdyby w grę nie weszły inne czynniki, które zniesienie prohibicji uczyniły musem.

Jeszcze w 1926 roku w wydatkach Rządu Związkowego mogła figurować pozycja 25 miljonów dolarów — jako koszta walki z akcją antyprohibicyjną. W tymże samym roku i na ten sam cel mogły poszczególne Stany przeznaczyć zawrotną sumę 275 miljonów dolarów. Dzisiaj już tego nie mogą. Zbyt kosztowny wydatek w czwartym roku kryzysu! Zresztą gdyby nawet Rząd Związkowy i poszczególne stany nie wydały ani centa na walkę z przemytnictwem i z gorzelnictwem nielegalnem i patrzały przez palce na masowe niestosowanie się ludności do przepisów „The National Prohibition Act", to i tak byłyby stratne na prohibicji o całą sumę wpływów podatkowych z fabrykacji i handlu alkoholem.

Największym jednak atutem w ręku „mokrych", którzy wnieśli przed Senat wniosek o zniesienie prohibicji, jest katastrofalny stan rolnictwa w Stanach Zjednoczonych. „Powrót do alkoholu", umożliwi zużycie wielu miljonów buszli zboża przez przemysł gorzelniany, a tem samem wpłynie zwyżkowo na cenę zbóż. Dużo jest racji w twierdzeniu, że zniesienie prohibicji w Stanach Zjednoczonych wpłynie ożywczo na życie gospodarcze tego kraju.

W związku z fiaskiem antyalkoholizmu w Ameryce klęskę ponosi absurdalne hasło umoralniania człowieka drogą nakazów. Słynne dekrety Venizelosa w Grecji i Mussoliniego we Włoszech (przymusowe pończochy na kobiecych nogach, mierzenie długości sukni i rozmiarów dekoltu przez policję), stanowią doskonałe pendant bojów amerykańskiej donkichoterji moralizatorstwa.

M. Czarnowski

PONURE BŁAZEŃSTWO

W artykule Henryka Lukreca p. t. „Błyskawice skandali dziejowych", zamieszczonym w „Kurjerze Porannym", znajdujemy świetną charakterystykę „epidemji niszczenia" towarów i produktów celem utrzymania ich cen na rynkach. W końcowej części artykułu pisze p. Lukrec:

„Ta epidemja niszczenia w celach przyszłych zysków ostatnio rozszerza się z szybkością powodzi i obejmuje inne dziedziny pracy ludzkiej, poczynając od zboża a kończąc na nasionach kwiatów pachnących, nawet na pięknych sztychach z epoki wiktorjańskiej, spalonych nielitościwie w liczbie ponad sto tysięcy egzemplarzy. Rzym cezarów na schyłku antycznego świata karmił ryby mięsem niewolników, złoty cielec współczesny karmi rekiny w oceanach pszenicą i kawą, odebraną głodującym miljonom, zaś wzorem religijnym w świątyniach bogów greckich składa na ołtarzu Mamony ofiarę z krwi baranów.

Zmowa kapitalistów zmarnowała w zeszłym miesiącu około miljona sztuk owiec i baranów, zakopując je w ziemi, tylko nie w intencji przebłagania gniewu bogów i uzyskania łaski dla cierpiących, udręczonych narodów, ale jedynie dla prozaicznego podbicia w górę cen sprzedażnych na stada, ocalałe od noża.

Ta moralność kanibalska najnowszego stempla ma wprawdzie swój zbliżony odpowiednik w świecie zwierzęcym, ale porównania wypadają na jej niekorzyść.

Pożeranie wśród zwierząt osobników swego gatunku zdarza się w wyjątkowo ciężkich warunkach lub u schyłku życia, w okresie późnej starości, kiedy występuje osłabienie, przytępienie kłów, szponów czy pazurów. Lew majestatyczny rzuca się na człowieka z zamiarem pożarcia go wtedy dopiero, kiedy braknie mu sił dla poszukiwania trudniejszej zdobyczy. Wygłodzone wilki lub oślepłe szczury w ostateczności tylko korzystają z łatwo dostępnego żeru i żywią się mięsem własnego rodu.

Skandale współczesne odsłaniają stan rzeczy, który aż nadto usprawiedliwia surowy sąd Plutarcha

o wartości natury ludzkiej i przyznać mu trzeba, że przepaść między zwierzętami jest mniejsza, niż między ludźmi. Jeżeli dziś bezkarnie w oczach całego świata brać można olimpijskie rekordy niszczenia pól uprawnych pszenicy, kawy, bawełny i wyrzynania miljonowych stad owiec z przeznaczeniem utopienia ich w oceanach lub zakopania w ziemi — w czasach, kiedy z głodu giną miljony bezrobotnych, jeżeli dzieje się to nie na poziomie moralnym plemion kanibalskich, lecz wśród narodów wielkich, szczycących się postępem cywilizacji, rozkwitem humanizmu i panowaniem zasad chrześcijańskiej miłości bliźniego, jeżeli to wszystkstko przytem pokrywa się biernością i milczącą zgodą zorganizowanego państwa nowożytnego, światłego, wykształconego mózgu i wrażliwego sumienia społecznego i jeżeli wreszcie nad całą tą ohydą współczesną góruje szyderczy śmiech zbogaconej, wyzłoconej zgrai, to głębszą jeszcze ma słuszność Carlyle, kiedy woła, że większość ludzi — to błazny!"

KTO NIE PISZE W „EPOCE"

P. Karol Irzykowski, pisze w „Robotniku" (Nr. 70):

„Z powodu mojej książki p. t. „Benjaminek" toczą się w niektórych kołach dość niepotrzebne, lecz charakterystyczne spory o to, czy powinienem był skrypt tej książki wrzucić do pieca, aby nie naruszać świętego Antychrysta, p. Tadeusza Żeleńskiego. P. Wasowski w „Epoce" (z dn. 12 lutego) znowu daje słowo honoru na to, że to było moim obowiązkiem (zwrot o „słowie honoru" jest, oczywiście dowcipem p. I.). Ale natychmiast wyliczyłbym p. Wasowskiemu dziesięć innych frontów, wobec których znalazłby się w kłopocie z każdym swoim artykułem. I kiedy p. Wasowski zakładał swoje arcyliberalne pismo, wcale mnie do współpracownictwa nie zapraszał — dlaczego? Widocznie w czemś nie czuł się ze mną solidarnym, wtedy wspólny front liberalny nic dla niego nie znaczył, on wolał mieć własny froncik. Pocóż więc teraz wyrzuty? Front liberalny jest tam, gdzie jestem ja, a nie gdzie p. Wasowski."

Nie będę prowadził już zbyt zabawnego sporu o to, gdzie się znajduje ów „front liberalny". Przyjmuję do wiadomości, że „Robotnik" — gdzie „jest" p. Irzykowski — reprezentuje „liberalizm". Ale nie lubię nieporozumień i skoro p. Irzykowski zapytuje, czemu nie zaprosiłem go do współpracownictwa w „Epoce", odpowiadam: owszem, są powody, dla których nie czuję się z nim „solidarnym", ale powody nie te, jakie ma na myśli p. Irzykowski. Nie chodziło mi o względy natury politycznej.

Do współpracownictwa w „Epoce" nie zapraszam żółciowców, zrzędów, mgławicowców, histeryków, megalomanów, egotystów i nudziarzy.

J. W.

„Epoka" daje lekturę wszechstronną i poważną, pragnąc zaspokoić głębsze potrzeby intelektualne i duchowe czytelnika.

TEATR

„CZŁOWIEK, KTÓREGO ZABIŁEM", MAURYCEGO ROSTANDA W TEATRZE „REDUTA"

W czasopiśmie „Wiadomości Redutowe", znajdujemy dwie przeczące sobie interpretacje sztuki Rostanda, granej obecnie w „Reducie". Rzecz zastanawiająca, że właśnie w tym teatrze, gdzie aktorzy, reżyserzy, inscenizatorzy całemi miesiącami „wgryzają się" w tekst sztuki, gdzie próby odbywają się z nadzwyczajnem namaszczeniem, poprzez analizę, „walcowanie", „rozpoznawanie i zdzieranie sztamp", „szkicowania", „przeżywania" i t. d., w tym oto teatrze jego kierownicy — już kiedy sztuka jest grana— dają w swem piśmie dwie zasadniczo sprzeczne tej sztuki interpretacje.

P. Eugenjusz Świerczewski pisze:

„Tematowo jest to jeszcze jedna sztuka wojenna, a jednak jest ona przedewszystkiem dziełem sztuki, w którem los ludzi, dzieje ludzkiego serca, konflikt pewnych ludzkich istnień na pewnej określonej przestrzeni i w pewnym określonym czasie jest zagadnieniem ważniejszem, *istniejącem samo przez siebie i dla siebie*... I dlatego sztuka Rostanda nie może być bynajmniej traktowana, jako dzieło sztandarowe sentymentalnego pacyfizmu i zagadnienie, jakie porusza, jest *wybitnie indywidualne, jednostkowe*, wyjątkowe, ba! jako sytuacja wręcz nieprawdopodobne...

W tym zaś założeniu inscenizacyjnem *pacyfizm sztuki jest tedy objawem wtórnym i nie on bynajmniej* — podkreślam to z całym naciskiem i siłą przekonania, skłonił Redutę do grania utworu Rostanda, Redutę, niechętnie naogół grywającą utwory cudzoziemskie, jako nam obce i dalekie", (podkreślenia nasze. Red.).

P. Mieczysław Limanowski natomiast oświadcza:

„Duch, który natchnął Maurycego Rostanda, pragnie, aby kochały się narody. Duch ten pragnie, aby nasza epoka położyła wreszcie koniec rzeczom okropnym i aby na świecie miłość zaczęła wreszcie ewokować rzeczy zbiorowe, najwyższe. Pracując, oddając siebie sztuce, staraliśmy się pokornie *współpomagać temu duchowi. Gwoli niczego innego, a tylko gwoli tej jednej rzeczy* przygotowaliśmy formę, wziąwszy w siebie (poprzez autora) wysoką inspirację, aby móc działać ze sceny, jak potrzeba" (podkr. nasze. Red.).

Więc jakże? Według p. Świerczewskiego „Reduta" wystawiła sztukę Rostanda, jako malującą dramat indywidualny, sztukę, w której pacyfizm jest tylko „objawem wtórnym", według zaś p. Limanowskiego wystawiono ją jedynie z tej racji, że niesie ideę powszechną i pacyfistyczną.

Może i ta rozbieżność, której nie uniknięto, mimo tak mozolnej pracy analitycznej, wpłynęła ujemnie na grę aktorów. Z wyjątkiem utalentowanej p. Niny Świerczewskiej, wszyscy grają niewiarogodnie źle. Są sztuczni, przesadni, melodramatyczni. Co za rezultat po czterech miesiącach pracy!

Nie wiemy wobec tego. jaka to „sztampa" została z gry aktorów „zdarta", skoro pozostały — demoniczny głos, patetyczny gest, dziki szept, rozwiany włos i zbielałe oko...

Widz

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

WIELKIE NIEPOROZUMIENIE

Najnowsza książka Malaparte'a o Leninie (Malaparte: *„Le bonhomme Lenine"*, Paris - Grasset) — to wielkie nieporozumienie.

Malaparte ma dla idei, jako motorów ruchu historji ludzkiej i jej rozwoju, nadzwyczajnie mało zrozumienia. Niedocenia myśli, jako najskuteczniejszego rewolucyjnego ekrazytu, który rozsadza zmurszałe wiązania przestarzałych form współżycia. Dla niego jedynie czyn przedstawia realną wartość. Namacalny efekt rzuca refleks na ideę nim kierującą. Może przynależność do partji faszystowskiej stała się źródłem tego sądu. Boć faszyzm jest jednym z tych rzadkich spontanicznych ruchów społecznych, gdzie wysiłek szturmowych oddziałów maszerujących na Rzym znacznie *wyprzedził* ideowe jego uzasadnienie, którego fundament budują teraz oficjalne już sfery partji. We Włoszech, w chaosie powojennym naprawdę „czyn faszystowski" wyprzedził „myśl faszystowską".

Już w swej książce p. t. „Technika zamachu stanu" Malaparte sprowadza problem rewolucji do czysto zewnętrznych posunięć. Ilustruje na kilku dosadnych przykładach, że jedynie swoista odrębna technika walki wewnętrznej, dopasowana do nowoczesnych warunków, prowadzić może do zwycięstwa. Podkład ideowy jest obojętny. Każdy zamach stanu, gdy centra dzisiejszego państwa, umieszczone w jego technicznych urządzeniach, jak poczta, telefon, radja i elektryczność pozostają w ręku wroga, zgóry skazany jest na klęskę.

Takie podejście do rewolucji w chwili jej oficjalnej już walki nie daje wprawdzie jej pełnego prawdziwego wizerunku, ale ilustruje przynajmniej nieźle jeden z jej aspektów.

Charakterystyka człowieka jednak, którego cała działalność polegała na przygotowaniu myślowego rynsztunku i na teoretycznem rozbudowaniu podstaw rewolucji, z punktu widzenia wyczynów rewolucyjnych prowadzić musi bezwzględnie do wielkiego nieporozumienia.

Malaparte konfrontuje Lenina z wielkiemi wydarzeniami w latach 1915 i 1917 i wykazuje, że zachowanie się Lenina było szczególnie kunktatorskie i niezdecydowane, a przedewszystkiem nieporadne.

Przebija z niego często ostrożny małomieszczanin zachodnio-europejski, który nie ma w sobie nic z tej fantazji twórczej i pomysłowości akcji, jaką zdradza chociażby Trockij. Ten staje na czele Sowietu w r. 1905 i kieruje jego obradami, przed oczyma rządu carskiego, kiedy Lenin po długich rozważaniach w ostatniej fazie rewolucji uczestniczyć będzie w zgromadzeniu, jako skromny widz na galerji. Po zamachu październikowym zdejmuje perukę dopiero wtedy, kiedy Antonow - Owsiejenko i kadet Raskalnikow przynoszą wiadomość do Instytutu Smolnego, siedziby bolszewików, że na Pałacu Zimowym powiewa czerwony sztandar. Także wtedy zdradza swój nerwowy niepokój dwoma niemieckiemi słowami skierowanemi do Trockiego: „Es schwindelt"!

Nietylko jednak w tej historycznej chwili, ale za czasów swej młodości (1895) gdy wybuchł strejk w fabryce Semianników, a cała młodzież rewolucyjna czynnie współdziałała z robotnikami, Lenin zamyka się w pokoju i redaguje odezwę, skierowaną przeciwko „narodnikom".

Kiedy wszystko jakby się gotowało w kotłowisku rosyjskiem, a wybuch rewolucyjny był bliski i groźnie się zapowiadał szeregiem zamachów, Lenin w bezpiecznej Genewie, kreśli swe refleksyjne „Szag wpiered, dwa szaga nazad" (jeden krok naprzód, dwa wstecz). Wtedy gdy walka już wygasa, a resztki buntu tłumione są po rewolucji w kazamatach twierdzy petropawłowskiej, Lenin szybko wraca zagranicę, gdzie pisze profesorską broszurę: „Czto dziełat?" A pozatem jego życie domowe. Tyle w nim małomieszczańskiego umiłowania do rodziny, w szczególności do żony, spokoju i rozwagi! Nie brak i przywiązania do kota i niedzielnych spacerów za miasto. Wreszcie dla kompletu znalazł się także rower. Wehikuł par excellence mieszczański. Tego już naprawdę Malaparte strawić nie może. Pomyśleć — dyktator na rowerze. Stąd tytuł książki „Mieszczanin — Lenin" i szereg cech, które przypisuje przynależności do tej warstwy. Upór biurokratyczny i fanatyzm purytański. Nie darmo rozpoczynał przyszły wódz bolszewicki swą karjerą życiową, jako pisarz u adwokata. Kto wie, czy nie wspólne psychiczne złoża decydowały o charakterze Lenina i jego francuskim wzorze adwokacie z Arras, niesprzedajnym Robespierze?

Tu leży przyczyna nieporozumienia.

Nie „czyn" bowiem jest decydującą cechą Lenina, lecz ‚myśl". Lenin nie był Napoleonem rewolucji, ani nawet jej Carnotem. Rola ta przypadła raczej Trockiemu, którego zawsze mile łechtało takie porównanie. Lenin był jej duchowym wodzem i twórcą kanonów wiary bolszewizmu. Charakterystyka Lenina, aby nie była tylko nieporozumieniem, musi efektowne pole rewolucyjnej walki ulicznej porzucić i wniknąć w subtelność marksowskiego światopoglądu. Musi odtworzyć jego zmagania z teoretycznemi horoskopami „kapitału", które nie sprawdzały się w późniejszych fazach kapitalizmu. Opisałaby, jak Lenin oparty o wyścieloną poręcz mieszczańskiego fotela, uzupełniał Marxa koncepcjami „Finanzkapitału" Hilferdinga i w miejsce kapitalizmu, jako bezwzględnego wroga proletarjatu, wprowadził „imperjalizm państw przemysłowych". (Lenin: „Imperjalizm, jako najnowszy etap kapitalizmu"). Tego wszystkiego jednak nie podaje Malaparte, nie doceniając myśli, jako rewolucyjnego motoru. Nie opowiada też nic o wielkiej walce Lenina z ekonomicznym romantyzmem narodników i ich wiarą w misję socjalną „miru" rosyjskiego, tak bliską każdemu Rosjaninowi. Tej wiary się zresztą sam nigdy nie wyzbył, choć z nią walczył i stąd częste na tem tle z Trockim nieporozumienia.

Obcą jest dla Malaparte'a ciekawa konstrukcja leninowskiego kapitalizmu państwowego (Lenin: „Państwo i Rewolucja"), przed którą się cofnął, wprowadzając przed śmiercią kompromisową politykę nepu.

Charakterystyka Lenina, „człowieka czynu", tak, jak ją skreślił Malaparte, jest nieporozumieniem, ponieważ Lenin jest przedewszystkiem rewolucjonistą myśli. Stąd w biografji tej tak potężna przewaga

ubocznych, a przedsiębiorczych postaci nad jej bohaterem. Przewaga, jaką nad Marxem miałby każdy komunard z r. 1871, gdyby jego charakterystykę pod tym kątem widzenia próbowano skreślić.

Mgr. Izydor Reisler

NOWELE WIERZYŃSKIEGO

Kazimierz Wierzyński, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów polskich, autor „Lauru olimpijskiego", który mu przyniósł zwycięstwo w międzynarodowym turnieju poetyckim amsterdamskiej olimpjady, ogłosił świeżo zbiór opowiadań prozą p. t. *„Granice świata"*. Sam fakt tego debjutu nowelistycznego był niespodzianką nielada dla wielbicieli bujnego talentu świetnego liryka — jeszcze większe stało się wrażenie po przeczytaniu najnowszego tomu Wierzyńskiego, i to zarówno z racji formy, jak i treści tej książki.

Zaprezentował nam formę nietylko zupełnie opanowaną, wysokiej artystycznej klasy, lecz pełną siły, skupienia i własnego wyrazu, tu i owdzie tylko — w momentach dramatycznych — wskazującą na „szkołę Żeromskiego". Ale wpływ tego mistrza widzimy przecie u wszystkich niemal czołowych beletrystów młodszego pokolenia—co dowodzi tylko, że genjalny pisarz otworzył swą twórczością istotnie nowy okres w rozwoju prozy polskiej. Dla tych, którym oblicze duchowe Wierzyńskiego utrwaliło się na podstawie pierwszych zbiorów jego poezyj, będą „Granice świata" niespodzianym zwrotem w jego twórczości. Lecz to jest *złudzenie*, gdyż ciągłość linji rozwojowej można wysnuć u pisarza, o indywidualnej fizjonomji, poprzez różnorodność, i tematyczną, i formalną. Zasadnicze elementy pozostają te same, zmienia się tylko ich wzajemny stosunek, ich kształt, barwa i wyraz. W pierwszym tomie prozy Wierzyńskiego można też wyczuć składniki, ukryte w ostatnich zbiorach jego poezyj, w „Rozmowie z puszczą" i w „Pieśniach fanatycznych".

Dla ogółu jednak czytelników tego poety, pamiętających przedewszystkiem wiersze Wierzyńskiego, dyszące nieokiełznaną, dyonizyjską radością istnienia, szumiące „wiosną i winem" młodości, wielbiące tężyznę zapaśniczą, dziwnem będą zjawiskiem jego opowieści wojenne, przeważające w ostatniej książce — po której buszuje śmierć. Nietylko jako rozwiązanie potężnych w swej pierwotności konfliktów instynktu z uczuciem, lecz jako nieuniknione przywrócenie równowagi w zmąconym porządku rzeczy ludzkich. Ciemne barwy tych opowiadań, jakby nasycone tragizmem bytu, który nie może przekroczyć „granic świata", wykreślonych przez mizerną naturę człowieka, tworzą czasem obrazy tak okrutne w obciążeniu bestji ludzkiej, że gdyby nie ich wysoka wartość artystyczna, trudno byłoby z niemi obcować emocjonalnie.

Jedną z tych wstrząsających opowieści, „Wyrok śmierci", kończy wyznanie, które nie jest chyba tylko pointą literacką, lecz autentycznem wyznaniem autora: „Nie, nie mogłem — mówi, wszystkiego opowiedzieć (towarzyszom z obozu jeńców austryjackich w Rosji), nie miałem sił. Zaledwie teraz zdołałem to z siebie wykrztusić".

To wyznanie tchnie przejmującą prawdą. To nie efektowny końcowy zwrot pisarski. Przeżyte okropności wojenne leżały pogrzebane w złożach pamięci Wierzyńskiego lata całe, pozwalając się zagłuszyć potężnym głosom nowego życia. Aż przyszedł moment (tajemna buchalterja duszy), gdy poeta musiał je wydobyć na powierzchnię świadomości — jak owe trupy rozstrzelanych w „Mszy na Uchorówce", ekshumować z prowizorycznej mogiły i pochować ostatecznie w transpozycji artystycznej, musiał, wyrzuciwszy je z siebie, pozbyć się wreszcie okrutnego depozytu lat wojennych, skreślić go z salda przeżyć młodości. Że uczynił to z poczuciem odpowiedzialności artysty, dał utwory, gdzie nawet groza została ujarzmiona wolą twórczą, wiążącą je wszystkie protestem panteisty przeciw granicom świata — takim, jakie je uczynił człowiek.

Tom uzupełniają dwie nowele na tle życia w warunkach pokojowych. „Napoleon" — to tragiczne dzieje zrujnowanego nafciarza, pędzącego półdziki żywot w głuszy opuszczonych szybów, ginącego pod rumowiskiem „Napoleona" — szybu, w którym, w obłędnem, mściwem opętaniu rąbie rusztowanie wieży, by nasycić się widokiem padającego olbrzyma — on sam, powalony losem zdobywca, głuchy nawet na głos instynktu ojcowskiego ponury monoman.

Nie wiem, czy lekce sobie je ważąc, czy też z innego powodu, na szarym końcu tomu umieścił Wierzyński opowiadanie „Tarnina". Może uczynił to dlatego, że nowela ta jaskrawo odbiega tłem i tematem od całości zbioru. Mniejsza o to. Ważne, bardzo ważne jest to, że owa skromna „Tarnina" stanowi (krytyk spowiada się zawsze ze swych subjektywnych wrażeń) *najpiękniejszy utwór* w książce. Ta historja miłosna jest arcydziełem psychologji w swej niewalającej śmiałości powiedzenia prawdy o biednym stworze, jakim jest człowiek *żywy i żywotny, choć rażony nieszczęściem.*

Witalizm Wierzyńskiego przerzucił w niej most ponad odmętem makabrycznych wizyj jego wojennych „okrutnych opowieści" ku dawnemu piewcy radości istnienia. Radość ta jest tu już przyćmiona męską zadumą o kruchości szczęścia, — lecz wzamian pogłębiona nutą dziś świadomego panteizmu, który od początku wiódł nieświadomego jeszcze swej drogi poetę ku bóstwu, któremu ma służyć i które mu najtrwalsze zgotuje tryumfy. Bohaterska — Anna jest poto, żeby była, — jako cząstka wszechświata, jak ta nikła a wdzięczna tarnina. Taka odpowiedź panteisty na zagadkę istnienia rozszerza granice świata... ludzi. To winno być dla twórczości Wierzyńskiego drogowskazem!

Wacław Rogowicz

„Do tego, żebyśmy mogli korzystać z życia w całem tego słowa znaczeniu, potrzebne jest, żeby pewna grupa ludzi znajdowała się poza życiem. Prócz zdobywania życia, musi być i jest inne życie — życie w świecie marzeń i abstrakcyj. Prócz zdobywania życia, musi być zdobywanie coraz to nowszych terenów w tym tajemniczym, a tak bardzo nieuchwytnym świecie. Ta walka nie może być dokonywana w ciągu 8-godzinnego dnia pracy, musi się toczyć nieustannie, czyniąc z człowieka niejednokrotnie postać tragikomiczną, zaniedbaną, upośledzoną fizycznie, a często nawet umysłowo, — ale przepojoną zapałem i entuzjazmem. O tem wiedziała elita umysłowa w Polsce przedwojennej, o tem nie wie, lub wie za mało, elita dzisiejsza".

Leon Chwistek („Zagadnienia kultury duchowej w Polsce).

DUCH PRZEWROTNOŚCI

W jednej ze swych genjalnych nowel tak pisze Edgar Allan Poe, wielki podróżnik po mrokach psychiki ludzkiej:

„...istnieje jakaś wrodzona i pierwotna pobudka czynów ludzkich, pewna paradoksalna właściwość, którą w niedostatku innego, znamienniejszego określenia, nazwalibyśmy przewrotnością. W tem znaczeniu, jak ja ją pojmuję, jest ona czynnikiem bezprzyczynowym, motywem nieumotywowanym. Pod jej bodźcem działamy bez określonego powodu, lub gdyby to zdawało się sprzecznością w pojęciach, możnaby twierdzenie to zmienić w ten sposób, iż pod jej bodźcem działamy dla powodów, dla których działać nie należy.

„Czeka nas sprawa, wymagająca niezwłocznego załatwienia. Wiemy, iż zwłoka byłaby zgubą. Najważniejsze zdarzenie w naszem życiu woła nas głosem gromu do natychmiastowego podrywu i działania. Trzeba koniecznie przystąpić doń dzisiaj, a jednak odkładamy do jutra... dlaczego? Niema odpowiedzi, — jedyną dać może nasze przewrotne odczuwanie, jeżeli posłużymy się słowem, którego znaczenie jest dla nas niepojęte. I oto nadarza się nam ostatnia sposobność, by przystąpić do czynu. Drżymy, targani wewnętrzną rozterką — tem zmaganiem się nieokreślonego z określonem, istoty rzeczy z cieniem. Jednakże w tym okresie walki zwycięstwo przechyla się na stronę cienia i opór nasz jest nadaremny.

„Stoimy na skraju urwiska. Rzucamy spojrzenie w otchłań — doznajemy zawrotu i mdłości, które roztapiają się zwolna w obłoku nienazwanego odczucia. Stopniowo, niepostrzeżenie obłok ten przybiera kształty na podobieństwo wyziewu z butelki, z której wyniknął genjusz Arabskich nocy. Wszelako z naszego obłoku, gdy stoimy na skraju przepaści, powstaje coraz wyraźniej kształt, o wiele straszliwszy od wielkich legendarnych genjuszów i demonów, — kształt, co wprawdzie jest tylko *myślą*, lecz tak okropną, iż mrozi szpik w naszych kościach nieunoszoną swej grozy roskoszą. Treścią tej myśli jest poprostu pytanie, — jakich wrażeń doznawalibyśmy, spadając w przepaść z tej wysokości. I oto tego spadku, tego błyskawicznego unicestwienia pożądamy gorąco właśnie dlatego, iż jest on najupiorniejszy i najpotworniejszy ze wszystkich potwornych i upiornych obrazów śmierci, jakie kiedykolwiek błysnęły w naszej świadomości; a ponieważ rozum ze wszech sił odwodzi nas od przepaści, przeto tem zawzięciej podążamy ku niej.

„Niema w przyrodzie namiętności tak szatańsko wyuzdanej, jak żądza człowieka, który drżąc na krawędzi otchłani, waha się, czy ma się w nią rzucić. Poddać się na chwilę tej myśli, znaczy — być niezawodnie zgubionym, a ponieważ rozsądek nam jej zabrania, *przeto*, powtarzam, wstrzymać się od niej nie możemy". *(„Bies Przewrotności"*, tłomaczenie Stanisława Wyrzykowskiego).

***

Ilekroć o takich sprawach rozmyślam, jak — rozbrojenie moralne, pokój powszechny, Paneuropa, zawsze staje przedemną w całej swej grozie największy wróg tych rzeczy, Bies Przewrotności, tak genjalnie przez Poe'go odmalowany, a tem potężniejszy, tem straszliwszy, że nie jest tworem psychiki pojedyńczej jednostki, ale masy ludzkiej, wielojęzycznych tłumów.

Pominąwszy zawodowych polityków, dla których jakże często przewrotność jest rzemiosłem, całe ulice, całe miasta, całe narody uczestniczą w dziele tworzenia jakowegoś niżu myślowego, psychicznego ciśnienia, dusznej atmosfery, w której dojrzewa burza.

Zbyt mało zastanawiamy się nad magiczną mocą myśli, a przecież armaty i łodzie podwodne nie fabrykują się same, bez współudziału naszej woli, naszej chęci. Ktokolwiek wróży światu nowe żniwo wojny, a sąsiadom zagładę, czyż rozumie, że wróżba nie zależy najczęściej od przyszłości, lecz przyszłość od wróżb, — że proroctwo nie przewiduje, ale tworzy nową rzeczywistość?!

W dziedzinę zła zapędzamy się całą mocą naszej wyobraźni, a tymczasem w przeciwnym kierunku trwa nietknięta zda się, a bogata kopalnia dobra. Gdyby połowa tego trudu, jaki zużywa się dokoła na ciskanie myślowych bomb w stronę granic, zbrojnych już i tak murami ceł i murami wojska, skierowana została na wyższe i jaśniejsze szlaki wyobraźni, na drogi zgody wzajemnej i zrozumienia, współpracy i pomocy bratniej, — jakże osłabilibyśmy straszliwy bieg po równi pochyłej, o którym już nie mówi się, ale krzyczy, że jest końcem cywilizacji Europy!...

***

Pacyfistów uważa się najniesłuszniej za typy zniewieściałe, rzekomo do walki niezdolne i kryjące pod peleryną dziwacznych utopij słabość wewnętrzną. Rzecz ma się wprost przeciwnie. W ramach swego społeczeństwa, zupełnie jak w wezbranej rzece, pacyfista płynący pod prąd spienionego pseudo-patrjotyzmu, musi mieć silne ramiona i odważne serce, by się utrzymać na powierzchni i w walce z żywiołem psychozy nie ulec.

Bardziej jeszcze, niż z bojówkami fal mętnego nacjonalizmu, walczyć musi pacyfista z wirami tych partyj i obozów politycznych, które z ubocznym celem głoszą pacyfizm, jako jedną z wielu metod taktycznych. To też prawdziwy pacyfista musi mieć dobry węch, by pod pozorami pokojowych haseł odczuć zarówno kadzielniany dym katolicyzmu, jak i swoistą woń komunistycznej pułapki. Jeśli się zważy, iż oba z tych kierunków podśpiewują i krzyczą w ciemnościach nocy naszych dni, że właśnie po ich stronie leży Pokój Narodów, Paneuropa, Moralne Rozbrojenie i Rzeczpospolita Ludów i Ras, to jakąż przytomność umysłu wykazywać musi prawdziwy pacyfista, by nie zbłądzić śród wołania mylnych drogowskazów i wiedzieć, że i jeden i drugi, to — nie to! nie to!...

Coraz częściej słyszeć się daje narzekanie, że ideały pogasły, a wraz z niemi wszelka możliwość jasnej przyszłości. Bezradność wobec gospodarczego przesilenia i gorycz z moralnego kryzysu zrodzona, znakomicie ułatwia szerzenie zarazy zbiorowych chorób psychicznych, — imperjalizmu, zaborczości, despotyzmu wojskowej okupacji rządów, tyranji proletarjatu, przemocy kapitalizmu i t. d. Są to wszystko twory ludzkiej myśli, — chore i złe. Chmury burzliwe a rozległe, międzynarodowe, nad całą ludzkością zawisłe, gęstym dymem zasnuwają niebo i łączą się we wrogie sobie skupiska.

Różne są przyczyny i przejawy tej psychozy zbiorowej; możemy też różnie je nazwać, — bardziej poetycznie — Biesem Przewrotności Poe'go, lub bardziej naukowo — „popędami śmierci" Freud'a. W dobie obecnej Pacyfizm nie jest napewno niezawodnem panaceum na ekonomiczne bolączki świata, podobnie, jak nie jest nowem kryterjum wartości, niemniej jednak w powodzi leczniczych programów i metod, jedynie Pacyfizm troszczy się o rzecz najważniejszą, a mianowicie o *warunki* pracy, jakiej dokonać w sobie musi ludzkość, by ozdrowieć.

Otóż pierwszym warunkiem wszelkiej djagnozy i wszelkiego leczenia jest spokój pacjenta i spokój lekarzy. Zło przybrało międzynarodowe rozmiary, słusznie tedy nawołuje Pacyfizm do międzynarodowego spokoju, czyli do rozbrojenia moralnego i militarnego społeczeństw. Czy powrót do zdrowia poszczególnych krajów naszego kontynentu odbywać się będzie we wspólnem łożu Paneuropy i czy rolę lekarzy nadal odgrywać będą znachorzy zawodowej dyplomacji, są to już rzeczy dalsze i do przewidzenia trudne, skoro nie wypełniony został pierwszy warunek naprawy, czyli Pokój Powszechny.

Niezależnie od tego, czy zwyciężą pokojowe czy rewolucyjno-wojenne tendencje społeczeństw i rządów, nie będzie żadnej przesady, jeśli powiemy, że najszczytniejszym ideałem naszych dni i najzdrowszym odruchem naszych społeczeństw jest Pacyfizm. Walka z Biesem Przewrotności toczy się na śmierć i życie, — w walce tej jest Pacyfizm jedyną rękojmią dalszego życia, dalszego trwania.

Jerzy Kornacki

BEZDOMNA ŁÓDŹ

REPORTAŻ

Łódź liczy tysiące bezrobotnych i bezdomnych. Ściślej: 32 tysiące. Jeszcze ściślej? — Kto zliczy tę nędzę, która nie ma schronu? Kto będzie ją rejestrował?

Dzień cały włóczą się bezdomni po ulicach i zaułkach Łodzi: tu dostaną dwa grosze, tam znów kęs chleba. Wszędzie ich pełno. Dopiero, gdy noc obejmuje miasto w swe ramiona i ulice pustoszeją, pod schodami, we wnękach bram, pod płotami, w ustępach i na pustych placach, śmieciem zawalonych, układają się do snu, głodni, zgnębieni, w mroźną zimową noc, otulając swe wychudłe, skostniałe ciała w łachmany, dające im złudzenie ciepła.

Drewniana szopa, licha, nawpół rozwalona, u wylotu ulicy Tramwajowej, pozostała po jakiejś nieskończonej budowli przed laty. Dach podziurawiony, środkiem zapadły; wewnątrz przegniłe belki; pośrodku barłog. Na barłogu leżą niby nadziane, jak paciorki, podeszwy starych butów, palce, wyłażące z trzewików, mnóstwo bosych nóg, pięt, męskich już, dziecięcych jeszcze.

Oko, zanurzając się w mroku szopy, rozróżnia kształty, uśpione głowy, bezwładne, krótkie, skulone postacie — około czterdziestu chłopców, wśród nich kilka dziewczyn — przytulone mocno jedna do drugiej, byle było cieplej: łachmany płci obojga, pomieszane w barłogu. Okupacja tej szopy przez bezdomnych nastąpiła wraz z przyjściem dżdżystych i zimnych nocy. Dziś rządzą nią niepodzielnie: każdy nowoprzybyły musi złożyć daninę, „wkupić się", by zostać przyjętym do tej republiki nędzarzy — nędzarzy bezdomnych, ludzi, cierpiących głód i zimno, pozbawionych najprymitywniejszych środków egzystencji.

Na końcu ulicy Brzezińskiej odłogiem leży szerokie i długie pole. To zbiorowy gnojownik Łodzi. Tu zwozi się gnój ze wszystkich stajen i obór miasta. Brunatne pogórki gnoju. Śniegiem lekko pokryte, wijące się w nieprzerwanym pasmie.

Tam jest siedlisko nowej, bezdomnej Łodzi. Tam gnieździ się kilkaset dzieci bezdomnych — dzieci ulicy. Gnój, jak wiadomo, jest najlepszą ochroną przed zimnem i chłodem. Więc zakopują się w nim, aż po szyję, by spędzić w cieple noc. Lecz ziąb i w gnoju dosięga. Drżą... Kaszlą... kaszlą suchym kaszlem, gwałtownym i chrapliwym.

Inni jeszcze nocują w psich budach. Zaprzyjaźniają się ze zwierzętami, którym przynoszą kości, skórki z chleba i wraz z niemi śpią na słomie, rojącej się od robactwa. Śpią na śmietnikach.

We dnie są głodni: wyczekują nocy, by usnąć, nie myśleć o głodzie, nie czuć go. Spać! spać! wszystko jedno, gdzie: byle tylko móc spać...

Lato jest najcudowniejszą tęsknotą tych bezdomnych nędzarzy. O lecie mówią oni z błogiem uśmiechem na ustach. Bo latem można wszędzie się przespać: na stopniach sklepów w bocznych ulicach, w parkach miejskich, na ławkach w alejkach i na skwerach. W zbożu, w kartoflach, na polach okolicznych: stamtąd trudniej jest ich wyrzucić, niż z dworców kolejowych!

Śpią na ulicy. Budzi ich policjant: przepisy prawne pozwalają wyrzucać ludzi z mieszkań na ulicę, ale obowiązujące przepisy porządkowe nie pozwalają wyrzuconym spać na ulicy. Podnoszą się ciężko. Idą przed siebie. Może tu da się przykucnąć?

Późnym wieczorem zamykają się parki miejskie. Bezdomni już wcześniej przemykają się przez furtę i zaszywają w krzakach. Z powodu ciemności dozorcy nie mogą ich dostrzec. A gdy bramy zostaną zamknięte, nic nie przerwie im snu.

Gorzej, jeśli deszcz pada. Wówczas muszą szukać bezpieczniejszego schronienia. Muszą się skradać po cichu do piwnic i na strychy i tak samo cicho, niespostrzeżenie, wychodzić wczesnym rankiem na ulicę.

Zajmują okoliczne pola. Mieszkają w małych szałasach. Wykopują kartofle, marchew, buraki i tem kradzionem żyją.

Palą. Oszukują głód. Palą liście, suche krzaki kartofli, bobru, kawałek drew, uzbierane gałązki. Idzie dym. Ostry zapach rozchodzi się w nozdrzach, drażni jelita, kurczące się z głodu. Długo trwa, zanim ogień ukaże się. Dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny, godzinę czasem. Paliwo wilgotne, mokre. Ale bezdomny jest cierpliwy! Pali, dmucha, aż się ogień rozpali.

Lato — raj bezdomnych! Daleko jeszcze do lata.

Jeszcze noce są mroźne i straszliwie długie... Bezdomni drżą i kurczą się.

Skostniali czekają na świt...

Bolesław Wasiak

W TRZECHSETNĄ ROCZNICĘ PROCESU GALILEUSZA

Pisano rok jubileuszowy 1600. Na tronie papieskim zasiadał Klemens VIII, od roku 1592 światu chrześcijańskiemu miłościwie panujący, a miljony pielgrzymów zalegały ulice wiecznego miasta, by złożyć hołd najwyższemu dostojnikowi kościelnemu. W pamiętnym tym roku, dnia 9-go lutego, przeczytano wyrok śmierci Giordanowi Bruno, nieustraszonemu filozofowi, zdecydowanemu zwolennikowi Kopernika. Zasądzono go na śmierć po ośmioletnich katuszach więziennych, po daremnych usiłowaniach zmuszenia go do zaprzeczenia głoszonym przezeń teorjom o wielkości światów zamieszkałych, o gwiazdach - słońcach i o wszechpotędze życia, docierającego na każdy glob planetarny. A kiedy w osiem dni później zaprowadzono go na stos, zmarł bez jęku, trwając do ostatniej chwili w grzechu myśli wolnej, nieskrępowanej żadnym dogmatem.

W tym samym czasie, kiedy dokonał się ostatni akt tragedji niezależnego myśliciela, nad widnokręgiem świata nauki zabłysła gwiazda, której blask oświetlić miał drogi rozwoju nauk ścisłych poprzez szereg następnych stuleci. Galileo Galilei był już wtedy znanym na ziemi włoskiej uczonym. Jego wielkie zasługi, położone na polu fizyki i astronomji, są ogólnie znane. Galileusz stworzył podstawy nowej mechaniki, ustalił prawa spadku ciał, a szeregiem badań teleskopowych rozszerzył znacznie ówczesne wiadomości o słońcu, księżycu i planetach. Odkrycia te przyczyniły się do ugruntowania kopernikańskiego poglądu na świat, stały się znakomitemi argumentami, świadczącemi za tem, że ziemia nie jest nieruchomem centrem wszechświata.

Wcześnie wielki uczony zdobył sobie zarówno uznanie, jak i nienawiść współczesnych. Zostawszy w roku 1589, jako 25-letni młodzieniec, profesorem matematyki w Pizie, wzbudza oburzenie swych kolegów — „uczonych" nawskroś krytycznem nastawieniem wobec aksjomatów pseudoarystotelesowej scholastyki. Również zachowanie się młodego uczonego wobec swoich uczni, stało się źródłem zgorszenia. Galileusz był naturą prostą, szczerą i odnosił się do swych słuchaczy bez cienia zarozumiałości profesorskiej. Stosunki w Pizie nie układały się pomyślnie, a ponieważ płaca była niska, zaś w r. 1591 umarł ojciec Galileusza i przekazał mu, jako najstarszemu, troskę o byt licznego rodzeństwa, uczony postarał się o lepszą posadę w Padwie. Wspomieć jeszcze należy, że w Pizie Galileusz zawarł znajomość z starszym nieco od niego Matteem Barberinim, rzymskim patrycjuszem, z którym nawiązał stosunki przyjacielskie.

W Padwie Galileusz zyskiwał coraz większą sławę. Pod opieką dość liberalnego rządu weneckiego, przez lat 18 pracował intensywnie, zarabiając stosunkowo dużo i mógł też pomagać swojej rodzinie. W owym czasie poznał niejaką Marinę Gamba, z którą miał dwie córki, oraz syna. Stosunek ten przysporzył uczonemu dużo przykrości, pod jednym atoli względem obdarzył go bardzo miłem następstwem. Jedna z córek, późniejsza zakonnica, Marja Celesta, stała się prawdziwym duchem opiekuńczym starzejącego się ojca, współpracowała z nim, przepisywała w klasztorze jego dzieła, a w chwilach ciężkich dodawała mu otuchy i podtrzymywała jego wiarę w lepsze jutro.

W roku 1610 Galileusz odkrył cztery księżyce Jowisza i nazwał je na cześć wielkiego księcia toskańskiego planetami medycejskiemi. Wielki książę odwdzięczył się za ten gest astronoma i zamianował go nadwornym matematykiem i filozofem z siedzibą we Florencji. Galileusz skorzystał z tej propozycji i przeniósł się w roku 1611 do pięknej stolicy Toskanji. Książę obdarzał go wielkiemi łaskami i często zapraszał do pałacu, gdzie odkrycia i teorje wielkiego uczonego były prawie codziennie przedmiotem gorących dyskusyj wysokich dostojników wielkoksiążęcego dworu. Galileusz znajdował się w owym roku u szczytu sławy i powodzenia. Jedna tylko okoliczność niepokoiła uczonego, zapewne dobrze pamiętającego dzieje życia Giordana Bruno: z Rzymu dochodziły do niego pogłoski o nieżyczliwem traktowaniu jego teoryj i o knowaniach jego nieprzyjaciół, usilnie starających się o wytoczeniu mu procesu o herezję. Celem zapewnienia sobie poparcia stolicy apostolskiej Galileusz udał się w marcu roku 1611 do Rzymu i osobiście zareferował wysokim dygnitarzom kościelnym swe teorje i badania. Papież Paweł V przyjął go wyjątkowo uprzejmie, dzięki zaś poparciu kardynała Bellarmina, Galileusz uzyskał potwierdzenie prawdziwości swych odkryć ze strony czterech matematyków Collegium Romanum.

Uspokojony i pełen otuchy powrócił Galileusz do Florencji. Był przekonany, że wyniki jego badań, a szczególnie kopernikański system świata, aczkolwiek sprzeczny z twierdzeniami scholastyków, daje się w zupełności pogodzić z nauką Chrystusową. Galileusz zawsze był wierzącym katolikiem, wielu miał przyjaciół wśród duchowieństwa i cieszył się poparciem kilku kardynałów, oraz członków Sant Uffizio. W październiku r. 1611 na jednem z objadów dworskich spotkał się Galileusz ponownie z Matteem Barberinim, przyjacielem z czasów pizańskich, obecnie już wpływowym kardynałem. Kardynał z wielkiem zainteresowaniem słuchał wywodów uczonego i powziął do niego dużo szacunku. Gdy nieco później Galileusz zachorował, kardynał Barberini napisał do niego serdeczny list, nadmieniając, że „prosi Boga, aby zachował Galileusza, gdyż ludzie tacy, jak on, zasługują na to, aby długo żyli dla powszechnego dobra; a on, Matteo, w szczególności ma w jego zdrowiu osobisty interes, gdyż żywi ku niemu wielki afekt, którego dowody będzie mu składał przy każdej nadarzającej się sposobności" *).

Mając zapewnione poparcie wysokich dygnitarzy kościelnych, Galileusz śmiało wygłaszał swoje przypuszczenia „de systemate mundi". Nie ulega żadnej wątpliwości, że mógłby bez większych przeszkód aż do końca życia głosić swe twierdzenia naukowe, gdyby nie starał się znaleźć potwierdzenia swych poglądów w wersetach biblijnych. Galileusz zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że Biblja nie jest

*) według Chłędowskiego: „Rzym, ludzie baroku".

podręcznikiem przyrodoznawstwa i w jednym z swych listów oświadczył, iż „duch święty chciał nas nauczyć, jak można wejść do nieba, a nie jak niebo się obraca".

Mimo to jednak niepotrzebnie wdawał się ciągle w rozprawy teologiczne, bezmyślnie naśladując swych kolegów, widzących źródło wszelkiej mądrości wyłącznie w nauce zchrześcijanizowanego Arystotelesa i ojców kościoła. Był to z jednej strony błąd taktyczny, a z drugiej grzech czołowego uczonego swej epoki, od którego historja nauk ścisłych mogła wymagać, aby zdecydowanie powstrzymywał się od wszelkich nierozumnych paplanin, pozbawionych podstawy doświadczalnej i rozumowej. Zarzut ten, który musimy uczynić Galileuszowi, jednak bynajmniej nie tłomaczy haniebnego postępowania kleru. Bowiem dokładnie to samo powiedzieć można o świętobliwych wykładowcach i komentatorach Biblji. I oni nie ograniczyli się do swojego terenu, do monopolu wiary metafizycznej, lecz dyskusje teologiczne przenosili na dziedziny, bezsprzecznie podległe li tylko badaniom naukowym, a w dodatku przedstawiciele nauki kościelnej ustawicznie prowokowali Galileusza swojemi zaczepkami i insynuacjami. Jeżeli zastosujemy do Galileusza miarę zwykłego, popędliwego i nieco gwałtownego śmiertelnika, a nie genjalnego fizyka, miarę przeciętnego człowieka epoki baroku, a nie współczesnego naukowca, to uznać musimy, że jego niepotrzebne wycieczki w dżungle objawionych nauk są całkowicie usprawiedliwione. Dodać jeszcze należy, że świadomość ogólnie wówczas stosowanych „humanitarnych" środków nawracania zbłąkanych owieczek, musiała wywrzeć nader ujemny wpływ na stan nerwów uczonego.

Podniecony machinacjami swych nieprzyjaciół na dworze wielkiego księcia toskańskiego, Galileusz w grudniu roku 1613 napisał list otwarty do swego ucznia i przyjaciela, benedyktyna Castello, list, w którym zakreśla granice pomiędzy wiarą, a nauką i oświadcza, że fakty, o których nas uczy naoczne spostrzeżenie, nie mogą być poddane w wątpliwość przez ustępy Biblji. Zaznacza również, że nie wszystko, o czem mówią księgi biblijne, jest tak dokładnie dowiedzione, jak każde zjawisko przyrody. List ten wywołał ogólne oburzenie. Dominikanin Tommaso Caccini w kazaniu napiętnował matematykę, jako szatański wymysł, jako początek wszelkiej herezji i domagał się wypędzenia matematyków z państw chrześcijańskich. Inny dominikanin Niccolo Lorini zadenuncjował Galileusza do Sant-Uffizio i dołączył do swej skargi odpis listu Galileusza.

W ten sposób rozpoczął się słynny proces Galileusza. Galileusz, ufając w potęgę swych wpływowych przyjaciół i przekonany o słuszności swoich twierdzeń naukowych, sam pragnął jaknajprędszego rozstrzygnięcia kwestji jego prawowierności i domagał się od władz kościelnych oświadczenia w sprawie braku cech herezji w nauce Kopernika. Spotkał go jednak całkowity zawód. Mimo, że osobiście czynił starania w Rzymie u członków inkwizycji, dnia 24-go lutego 1616 roku zapadła decyzja Sant'Uffizi.

„Solem esse in centro Mundi et immobilem motu locali, propositio absurda et falsa in Philosophia et formaliter haeretica, quia est expresse contraria Sacrae Scripturae."

Tekst tej sentencji nie dopuszcza żadnych wątpliwości i nie wymaga komentarza. Pod datą 26-go lutego znajduje się w aktach procesu zapis notarjalny, stwierdzający, że tego dnia kardynał Bellarmin z polecenia papieża zakomunikował Galileuszowi decyzję Sant'Uffizio i zażądał od niego złożenia oświadczenia, że nie będzie nadal głosił błędnej nauki o ruchach ziemi. Galileusz przyrzekł posłuszeństwo i zobowiązał się zastosować do decyzji władz kościelnych. Tak skończyła się pierwsza część procesu, którego część druga i finał odbyły się w roku 1633-cim.

(dok. nast.) *Dr. Feliks Burdecki*

PRZEGLĄD POLITYCZNY

„W walce zdobędziesz prawo swoje" — to hasło ze sztandarów należącej już do historji partji Socjal - Rewolucjonistów rosyjskich nabiera w dzisiejszych czasach coraz głębszego znaczenia. Bohaterscy es-erzy rosyjscy rozumieli je zresztą tylko po swojemu, jednostronnie — przez bombę i rewolwer chcieli zrealizować panowanie prawa... Ale przyszła chwila kiedy przewodniczącego Zgromadzenia Ustawodawczego („Uczrieditielnego Sobranja) Czernowa marynarz ściągnął z trybuny prezydjalnej i partja, która to dumne hasło wypisała na swoich chorągwiach, znikła ze sceny historycznej.

Hasło zostało i nabrało innej treści. Obserwujemy to teraz w dziejach Niemiec współczesnych.

Demokracja niemiecka w chwili klęski zewnętrznej reżimu monarchicznego bez walki w gruncie rzeczy doszła do władzy, osiągnęła swoje prawo i wprowadziła je w życie.

I oto dziś stoi nieomal wyzuta ze wszelkiego prawa, jak gdyby zalękniona i zdziwiona tem, co się dokoła niej dzieje, a po wielkich obszarach Niemiec współczesnych hula i rozbija się wielki cham reakcyjny, kneblując prasę, wolność słowa, niszcząc zasadę budownictwa.

Myli się ten, kto tylko kpi, drwi i naigrawa się z tej tragedji demokracji niemieckiej i wyciąga z niej tak popularne teraz gdzieniegdzie wnioski o nieuchronnej klęsce demokracji i jej bezsilności na świecie. Jeszcze nie wybiły godziny dziejów i jeszcze ostatnie słowa nie są powiedziane.

Demokracja niemiecka istotnie dźwiga na sobie ciężar bezsiły, powstałej z dwóch przyczyn. Jedna z nich — to zdobycie praw bez walki. Walka przychodzi dopiero teraz. Druga — to balast nacjonalizmu, który zwaliła jej na plecy uciekająca z pola klęsk reakcja niemiecka w 1918 r.

Wszak gmach republiki niemieckiej nie był wznoszony w drodze ewolucji wewnętrznej wyłącznie, a przedewszystkiem w wyniku klęski, jako wał ochronny przed zwycięską koalicją.

Stąd ten często niewłaściwy dla demokracji istotnej, ton nacjonalistyczny w ustach przedstawicieli republikanizmu niemieckiego, ton świadczący o zagmatwaniu pojęć, ułatwiającem reakcji obecny rewanż na wewnątrz.

Ale, powtarzamy, gra nie jest zagrana do końca. I jeżeli nawet, jak pesymiści chcą, demokracja niemiecka nie znajdzie w sobie dość sił wewnętrznych, aby wydobyć się z matni hitlerowsko - hugenbergowskiej inaczej, jak przechodząc przez tę „przełęcz kaudyńską" z pochyloną głową, to i tak to tragiczne i dla Niemiec i dla całego świata doświadczenie, nie może być długotrwałem.

Na razie jeszcze nie można nawet tak daleko idących pesymistycznych. horoskopów na przyszłość stawiać. Za wiele sił i czynników tu wchodzi w grę. Rzeczy nie są tak proste, jak niektórym autorom tak zwanych reportaży wydaje się.

Wprawdzie szaleje teror na ziemiach niemieckich, wprawdzie komisarz Göring wydaje bezecne rozkazy o protegowaniu przez władzę wszelkiej swawoli hitlerowskiej, a na swoją odpowiedzialność bierze strzelanie do nie — hitlerowców, wprawdzie wolność prasy jest duszona co dnia, a mówcy bloku rządowego zapowiadają, że wynik wyborów przyjmą tylko wówczas, jeżeli wypadnie na ich korzyść, ale, jednak na razie jeszcze nie targnęli się na sąd, nie zdołali zdławić głosu prasy niezależnej i wolnej myśli.

Roz'egł się niedawno pomimo wszelkich przeszkód policji hitlerowskiej głos Tomasza Manna, — powtórzony w pra-

sie i na kongresie „wolnego słowa" w Berlinie, głos, w którym wielki pisarz przyznaje się i do socjalizmu, i do demokracji, wychodząc z założeń... wolności sztuki.

— Socjalizm — pisze on — to tylko zgodne z poczuciem obowiązku postanowienie, aby wobec palących wymagań materji, społecznego życia, nie chować głowy w piasek rzeczy niebiańskich, ale przeciwnie walczyć o nie, walczyć o sprawy, które ziemi chcą nadać ludzki sens. W tem znaczeniu jestem socjalistą.

— Jestem demokratą w tem prostem i zwykłem znaczeniu tego słowa, że wierzę w nieprzemijającą wartość idei wolności, idei, która nierozerwalnie łączy się z ideą człowieka, idei wolności, którą dziś ogłasza się za pokonaną i skazaną przez historję na wyrzucenie wraz ze starem żelastwem...

— Społeczne i demokratyczne Niemcy — mówi Mann — jestem o tem przekonany, winny ufać, że obecna konstelacja jest przejściowa i że pomimo wszystko przyszłość do nich należy. Szaleństwa nacjonalistycznych namiętności, są niczem więcej, jak spóźnionym i ostatnim wybuchem gasnącego ognia, umierającego płomienia, który sam o sobie sądzi, że jest ogniem życia!

Do tych pięknych słów Tomasza Manna w przededniu ogłoszenia wyniku wyborów z pierwszej niedzieli marcowej dodać warto, że naprzeciw szalejącego frontu harzburskiego stanął w Niemczech poraz pierwszy nowy front zwany frontem lubeckim, świadczący o tej właśnie walce o prawo, której demokracji niemieckiej dotąd brakowało. Frontem tym jest porozumienie lewicy wśród mas niemieckich, dokonane bez umów i bez paktów pisanych na papierze.

W „Kreuzzeitung" oświadcza szef Stahlhelmu p. Seldte:

— Jeżeli wybory do Reichstagu dadzą nam owe sławetne 51%, tem lepiej, a jeżeli nie, to niechaj parlamentaryzm z Wejmaru idzie do djabła.

A odpowiedzią na to są demonstracje jednolitego frontu robotniczego w Hamburgu, Harburgu, Berlinie i Lubece. Niektóre z nich odbyły się nad otwartemi mogiłami pomordowanych przez hitlerowców robotników.

W Lubece, jak donosi socjalistyczna „Hamburger Volkszeitung", dokonano wyborów do komisji jednolitego frontu. Weszło do niej — 5 robotników - komunistów, — 4 socjal - demokratów, 1 członek Reichsbanneru, 1 robotnik socjalista (nie partyjny) i 4 robotnicy bezpartyjni.

Oto początek walki. Że stają do niej siły coś znaczące, najlepszym dowodem jest, iż ważący się naogół na wszystko rząd Hitler - Göring - Hugenberg nie rozwiązał i nie zawiesił pomimo gróźb partji komunistycznej.

Co projektują, jakie mają zamiary dzisiejsi rządcy Niemiec w stosunku do własnej ojczyzny, widać z ich odezwań w prasie i na zebraniach przedwyborczych. Co myślą czynić na terenie międzynarodowym, łatwo zgadnąć.

Zapewne wyciągną z lamusa wszystkie rzucone w kąt przez historję łachmany pijanych krwią szaleńczych marzeń imperjalizmu niemieckiego. Dokąd sięgały te marzenia, przypomniał niedawno z nieznanych dotąd źródeł b. minister Zaleski w odczycie wygłoszonym d. 19 lutego w auli uniwersytetu warszawskiego p. t. „Polityka Niemiec w stosunku do Polski w epoce wielkiej wojny".

Z tego niezmiernie ciekawego odczytu warto przytoczyć ustęp dotyczący nieznanego memorjału obecnego prezydenta Rzeszy feldmarszałka Hindenburga z d. 5 lipca 1918 r. do kanclerza Hartlinga p. t. „Denkschrift über den polnischen Grenzstreifen".

— Prócz szerokiej połaci ziem polskich — referował min. Zaleski — na wschód od linji Będzin — Herby — Kalisz — Warta — Koło — Płock — Mława — Augustów domagał się Hindenburg przyłączenia do Niemiec Litwy, oraz ziem bałtyckich. Z ziem polskich wyciętych być miało 20.000 klm. kw. Ludność polska miała być z nich usunięta, a na jej miejsce miało przybyć 1½ miljona kolonistów niemieckich wraz z rodzinami. Taki sam pas miał być stworzony na pograniczu na ziemiach francuskich.

Wszystko to, jak pisał feldmarszałek, miało być „gwarancją trwałego pokoju i bezpieczeństwa dla cesarstwa".

Działo się to w pierwszych dniach lipca 1918 r., a tymczasem już zbliżała się katastrofa Niemiec cesarskich i projekty Hindenburga lipcowe w świetle wypadków listopadowych wyglądają, jak złośliwe szyderstwo...

Oto ciekawa lekcja dziejów dla współczesnych władców Niemiec. Lekcje te bywają przecież zarówno dotkliwe i wymowne na terenie polityki międzynarodowej, jak wewnętrznej.

**
*

Gorzej niż w Niemczech dzieje się... na Kubie pod rządami prezydenta Machado. Nie chce on przyznać się, by sprawował władzę dyktatorską. Świeżo oświadczył korespondentowi „New York Times", że protestuje przeciwko nazywaniu jego rządu dyktatorskim.

— Dopuszczam — oświadczył — że Trybunał najwyższy zakwalifikuje niektóre z moich zarządzeń jako bezprawne lub antykonstytucyjne, ale to nie dowodzi, aby władza moja była tyranją."

A o tej władzy pisze „Revue de l'Amerique Latine" w Paryżu:

— Parę słów o tragicznym stanie rzeczy na Kubie, gdzie teror jest jedynym środkiem używanym przez rząd i jedyną metodą protestu. Masakry trwają bez końca, więzienia są pełne. Najokropniejszem wydarzeniem dnia jest zamordowanie prezydenta Senatu p. Clemente Vasquez Bello i trzech braci Andrade, posłów z opozycji. Prezydent Machado sądzi szczerze, że jest nieodzowny dla swego kraju i przypuszcza, że jego wyjazd pociągnął by za sobą anarchję. A tymczasem jego zaślepienie, pycha i szaleństwo sprowadzają na kraj stan nędzy ekonomicznej i moralnej. Jest oczywistem, iż ma przeciwko sobie jednomyślność nieomal pełną narodu kubiańskiego".

St. Gr.

CI, KTÓRZY NIE MAJĄ PRAWA NARZEKAĆ NA KRYZYS

Gdy ukazały się w prasie pierwsze wiadomości o zniesieniu zakazu palenia w przyczepnych wagonach tramwajów miejskich, rozległy się tu i ówdzie głosy niezadowolenia. Ubiegł jednakże już spory szmat czasu i widzimy, że nic się złego nie stało. Nawet nietrudno stwierdzić, że frekwencja w wagonach dla palących jest znacznie większa, aniżeli objętych zakazem palenia. Wniosek stąd prosty, że zakaz ów był całkiem zbyteczny.

Dziwnem się jednak wydaje, że cały szereg narzekających na „kryzys" właścicieli kawiarń i sklepów nie chce podążyć za tym wymownym przykładem. Słowa „nie chce" nie oznaczają bynajmniej braku odpowiedniej decyzji, raczej brak zastanowienia. Każdy przecież sklep, każda przecież kawiarnia marzy o jaknajwiększej frekwencji publiczności, o najszerszym zbycie swych towarów. Zdawałoby się więc, że właściciel kawiarni, czy sklepu nie będzie stawiał żadnych trudności wobec swych klijentów, ale raczej wiele uczyni, aby ją ściągnąć do siebie. Tymczasem pierwszy napis, który się rzuca w oczy klijenta, to tabliczka z zakazem palenia. Właśnie klijent ściąga rękawiczki, aby zapalić papierosa i z zainteresowaniem przejrzeć rozłożone przed nim towary, gdy personel, stosując się do woli właściciela, objaśnia smętnie, że palenie wzbronione. Oczywiście, klijent pójdzie do innego sklepu, do innej kawiarni, gdzie nikt mu nie będzie narzucał swoich przestarzałych upodobań. Ale niechaj tego rodzaju kupcy nie narzekają na „kryzys".

S. K.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Axel Munthe: Księga z San Michele. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1933.

Wacław Gąsiorowski: Pigularz. Powieść. Wydanie czwarte. Dom Książki Polskiej. Warszawa 1933.

Ks. Jan Piwowarczyk. Kryzys społeczno - gospodarczy w świetle katolickich zasad. Skład główny w Księgarni Krakowskiej. Kraków 1932.

Carl Steuermann: Koniec kapitalizmu. Kurs na kapitalizm państwowy. Przekład z niemieckiego M. F. Sieniawskiego. Wydawnictwo Nowoczesne. Warszawa 1933.

Zenon Klemensiewicz: Opieka rodziny nad mową dziecka. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

Świat i życie. Tom I. Zeszyt 2. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa. Luty 1933.

Od Administracji

Donoszą nam, że niektórzy sprzedawcy »Epoki« bezprawnie wypożyczają nasze pismo. Wypożyczanie to, tak za opłatą, jak i bezpłatnie, stanowi nadużycie przewidziane przez kodeks karny.

Wypożyczanie pisma spowoduje skargę karną zarówno przeciw niesumiennym sprzedawcom, jak i przeciw osobom, korzystającym z tego nadużycia.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40·

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-146 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.